Zeszyt 13. Lwów dnia 10. Maja 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Maryacki, hotel europejski.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI."

(C. d.) W tym roku pierwsza wyprawa na raki miała nastąpić z końcem czerwca, na urodziny starszej córki domu, panny Aleksandry. W Zarzeczu spodziewano się tego dnia większego zjazdu, powszechnie bowiem wiedziano, że po zabawie na łące, nastąpi druga w domu, przy dźwiękach muzyki sprowadzonej z Radomia. Kawalerowie posyłali po rękawiczki i buciki aż do Warszawy, zkąd miało także przyjechać kilku danserów, a mamy mające córki na wydaniu, przemyśliwały nad sukienkami dla swoich aniołków.

Wandzia nie kłopotała się ani chwili swoją toaletą. Zdjąwszy żałobę przed kilku miesiącami, lecz ani chcąc ani mogąc z nią razem usunąć z serca smutku po stracie matki, postanowiła nosić odtąd suknie tylko czarne, zmieniając ich jakość stosownie do okoliczności. W domu nosiła sukienki skromne, wełniane gładkie, lub płócienkowe w biały deseń; suknia strojna była z jedwabiu, nakoniec balowa miała być z gazy, tiulu lub tarlatanu w rzucik złoty albo ponsowy. Jak u panienki tak młodej, to jej zamiłowanie do barwy czarnej, nie jednemu dziwnem się wydawało, chociaż znalazł się jakiś młodzieniec, który tak to wytłumaczył:

— Panna Wybicka jest osobą bardzo przyzwoitą i skromną, zalotności nie ma u niej ani śladu, ale suknie czarne dla tego nosi, że jej najlepiej w tym kolorze...

Za tem zdaniem poszła chętnie cała okolica i cała się omyliła. Gdy Wandzia poślubiła czarną barwę, miała na myśli jedynie pamięć matki swojej i ani się spytała, czy jej z nią będzie do twarzy. Nie powiemy, by jej było rzeczą obojętną ażali w tej lub owej sukni lepiej się wyda; owszem jako kobieta dobrze wychowana i z uczuciem szlachetnem, chciała na każdym robić przyjemne wrażenie, lecz z drugiej strony aż nadto dobrze wiedziała, że kolor sukni ani umniejszy, ani nie podniesie jej wdzięków. Nie była to zarozumiałość, broń Boże! ale pewność siebie, idąca w parze z prawdziwą pięknością. Są twarze, które aby się dobrze wydać, potrzebują takiej a nie innnej sukni, oświetlenia wieczornego, lub nawet półcienia, takich a nie innnych kwiatów — lecz są znowu osoby, którym we wszystkiem dobrze, których piękność twarzy łączy się z pięknością wyrazu, ruchów i całego znalezienia. Choćbyście Apollina ubrali w strój z płótna zgrzebnego, każdy poznałby w nim Boga piękności!

Wandzia doszła już do tych lat, w których dziewczę, podlotek, przeistacza się w dziewicę o formach skończonych. Odtąd rys jej twarzy zmianie więcej nie ulegał, wyraz oka uspokoił się i spoważniał, ruchy i kształty zrobiły się wdzięczne, okrągłe. Wzrostu była więcej jak miernego, prawie słusznego; czoło gładkie i szerokie, na którem Bóg wycisnął piętno czystości dziewiczej i szlachetnej dumy kobiecej, było otoczone falą włosów czarnych i połyskujących; oczy duże, ciemne, nad któremi zginały się harmonijnie dwa łuki brwi czarnych, rzucały spojrzenia śmiałe bez zuchwałości i głębokie bez zalotności; nosek kształtny, pociągły, o nozdrzach lekko ruchomych wyrażał energją; nakoniec usta pełne, różowe, świadczyły o zdrowiu i myśli swobodnej. Gdy stała w gronie mężczyzn — była ich królową; gdy się znalazła w kole rówieśnic, była wybraną wśród najpiękniejszych.

Na urodziny panny Aleksandry zjazd tego roku był w rzeczy samej bardzo liczny. O godzinie piątej po południu, młodzież uzbrojona w wędki i siatki wyruszyła na łąki. Z osób starszych wzięły udział w zabawie tylko matki i kilku panów poważniejszych, między którymi znajdował się także stryjaszek Wandzi. Pan Ludwik mając tego dnia silny ból głowy, rad nie rad musiał wyprosić się od preferansa, którego panowie grali w pokojach gospodarza.

Łapanie raków odbywało się sposobem bardzo łatwym; zdaje się, że sam Adam nie mógł ich inaczej w raju łowić. Na końcu wędki lub kija był przymocowany kawałek mięsa; prosty ten przyrząd zanurzało się w wodę, ale tak, by się dotykał dna rzeczki, a ponieważ w miejscach, gdzie brzeg był łoziną zarosły, raków najwięcej bywało, więc każdy starał się tam swoją wędkę ustawić. Skoro rak mięso ujrzawszy wysunie się z nory i z właściwą sobie żarłocznością uchwyci się ponęty, przytrzymując ją nożycami, przezorny łowiec podnosi jedną ręką zwolna wędkę do góry, a drugą ręką zapuszcza w wodę siatkę, w którą rak wpada. Panienki, których siły są za słabe do dźwigania razem wędki i siatki, zwykły zabawą tak kierować, że wędki oddają kawalerom, siatki sobie zostawiając. Płeć piękna lubi rzucać ponętę, ale nierównie większą przyjemność sprawia jej samo łapanie...

Wandzię wszyscy otaczali. Choć prawie już od roku w tych stronach mieszkała, każdy przypatrywał się jej uważnie, jakby spodziewał się ujrzeć w niej coś nowego a niespodziewanego. Na pozór mówiła jak inne panienki i w ruchach była do nich niby całkiem podobną, a jednak w jej głosie było więcej stanowczości, w spojrzeniu większa śmiałość i w ruchach większa pewność siebie. Wandzię zrobiły taką bądź wpływy lat ostatnich, bądź charakter energiczny, którym nie każda kobieta może się poszczycić. Mimo anielskiej dobroci, miała ona wolę silną, która jedynie potrzebowała odpowiedniego pola do popisu — a co do wpływów w latach ostatnich, te koniecznie musiały na nią oddziałać tak a nie inaczej. Bez matki, w bezustannem zetknięciu z ojcem i bratem, z których każdy lubo w sposób odmienny, potrzebował jej opieki, musiała nieświadomie nawet przybrać w głosie, ruchach i spojrzeniu, znamiona więcej stanowcze i pewne siebie.

Panna Aleksandra zamiast śmiać się i cieszyć, że w dniu jej urodzin zjechało się tyle osób wesołych, miała oczka dosyć smutne i często rzucała wzrok na drogę, która obok łąki do dworu prowadziła. Wandzia zauważyła to nareszcie.

— Co tobie, Olesiu? — zapytała.

— Mnie?... Nic, jak cię kocham, nic! — odrzekła znowu się oglądając.

— Nie wierzę, filutko, nie! Jak widzę, nie jesteśmy jeszcze wszyscy...- Ty się kogoś spodziewasz.

— Ja? nie Wandziu, jak cię kocham, nie! Ale mama jest pewnie niespokojna, że dotąd nie ma pana Juljana.

— Cóż to za pan Juljan?

— To pan Juljan Rossowski, daleki nasz kuzyn, mieszka teraz we Lwowie, ale że do Warszawy częste robi wycieczki, więc ilekroć tam przyjedzie, zawsze potem nas odwidza. Wczoraj miał od niego tatko list, że temi dniami przyjedzie do Zarzecza... tymczasem jeszcze go nie ma.

— Może przyjedzie jutro lub pojutrze — odpowiedziała Wandzia.

— Może — szepnęła cicho Olesia — chociaż szkoda, że nie dziś.. Na moje urodziny zjechało się tyle osób, a tylko jego nie ma... Mama bardzo się tem zmartwi.

— Czy i ty? — podchwyciła Wandzia, patrząc z uśmiechem w oczy młodej przyjaciółce.

Olesia spłoniła się po białka oczu, a całując Wandzię odrzekła:

— Niedobra Wandeczko! Gdyby mi to kto inny powiedział, gniewała bym się całe życie.

Podczas gdy przyjaciółki taką wiodły rozmowę, panowie przygotowali wędki, poczem towarzystwo zaczęło się rozdzielać. Każdy szukał miejsca najlepszego, aby jak najwięcej raków nałowić. Po lewej stronie Wandzi stał jakiś jegomość tak przejęty wielkością swego posłannictwa, że na nikogo uwagi nie zwracał, na prawo zaś nadskakiwał Olesi pan Ludwik Wybicki, którego głowa szczęśliwie boleć przestała. Kilku młodych ludzi ofiarowało Wandzi swoje usługi, lecz ona im podziękowała, chcąc sama wędkę zarzucać i sama łapać. Panna Aleksandra poszła za jej przykładem i swoim rycerzem mianowała poważnego pana Ludwika.

— Uważnie panno Aleksandro, uważnie! — krzyknął pan Ludwik — jak babcię kocham jest rak! Ale ten tego uważnie, uważnie! Widzi pani jak kijem rusza? A to hultaj! Jak babcię kocham rak! Ja teraz pomalutku będę kij do góry podnosił, a pani siatkę podstaw... Tak, tak... tylko powoli, na miłość boską powoli... bęc!

Z ostatniem słowem rak wpadł do siatki, którą Olesia oburącz do góry podniosła. Pan Ludwik wziął go we dwa palce i tryumfująco podniósł do góry.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się — a to rak! Cha! cha! cha! Panie Boże ty słyszysz a nie grzmisz?! Cudny rak! My pierwsi złapali panno Olesiu, pierwsi! Będzie szczęście, jak babcię kocham będzie!

— Stryjaszku! stryjaszku! — zawołała w tej chwili Wandzia, stojąca o kroków kilkanaście — chodź mi pomódz stryjaszku, bo sobie nie dam rady.

Stryjaszek rzucił raka na murawę i coprędzej pobiegł do bratanicy. Wandzia w rzeczy samej pomocy potrzebowała. Usiłując raka w siatkę pochwycić, zapuściła ją zbyt głęboko i to w miejscu, gdzie były krzaki i wodne rośliny. Siatka uwikławszy się, mogła się całkiem popsuć. Pan Ludwik widząc jakie grozi niebezpieczeństwo, mimo prośb i protestów bratanicy, położył się tłustym brzuchem na ziemię, a odpiąwszy sobie rękawy, zaczął rozrywać rośliny, w które siatka była uwikłana.

Podczas gdy koło Wandzi odbywała się ta scena komiczna, obok panny Aleksandry pojawił się gość nowy. Idąc cicho po łące, tak, że go niesłyszała, stanął tuż za jej plecyma i rzekł nagle:

— Czy solenizantce wolno tu złożyć życzenia?

— A! — lekko krzyknęła, szybko się obracając. — Pan Juljan!

— Rzeczywiście to ja! — potwierdził nowoprzybyły, przyjmując podaną sobie rękę.

— Bardzo to pięknie, żeś pan przyjechał... Jużeśmy myślały, że nas ominie ta przyjemność.

— O dniu tak uroczystym trudno było zapomnieć.

Młody człowiek powiedział to tonem grzecznym, ale bez odcienia jakiejkolwiek tkliwości; pana Aleksandra musiała to jednak zrozumieć całkiem inaczej, zarumieniła się bowiem widocznie i odrzekła z pewnem zakłopotaniem:

— Doprawdy, pan jesteś bardzo grzeczny...

Potem odzyskując równowagę, dodała:

— Chodź pan, muszę cię przedstawić naszej ślicznej przyjaciółce... Indjance.

— Jakto, panna Wybicka jest tu? — zapytał z pewnem zdziwieniem.

— A pan ją znasz?

— Nie... lecz cała Warszawa tylko o niej mówi, nazywając ją ósmym cudem świata.

— Więc chodź panie Juljanie. Zaraz się przekonasz, czy sąd Warszawy jest sprawiedliwy.

Właśnie pan Ludwik z ziemi się podniósł, ciężko odsapnąwszy, gdy przed Wandzią, która aż do tej chwili była siatką zajęta, stanęła Olesia ze swoim kuzynem.

— Wandziu — rzekła — przedstawiam ci naszego kuzyna, pana Juljana Rossowskiego.

Na ten głos Wandzia obróciła się do mówiącej i z lekkiem głowy skinieniem spojrzała na przybysza. On także na nią patrzył. Zaledwie kilka sekund stali tak naprzeciw siebie, a wyraz twarzy zaczął się zmieniać. W oczach Wandzi było zdziwienie przyjemne, a na jej twarzy, którą jakby obłok różowy osłonił, widać było zakłopotanie; natomiast w dużych, pełnych oczach stojącego przed nią mężczyzny, pan Ludwik, który mu się przypatrywał, odczytał coś, co graniczyło ze zdumieniem i uwielbieniem.

— Nie dziwię się — rzekł sobie w duchu stryjaszek — zgłupiał, jak babcię kocham, zgłupiał! ujrzawszy taką piękną dziewczynę.

Najmniej widziała Olesia. Zajęta sobą i swemi myślami, ani dbała o to, co się koło niej działo.

Młody człowiek chciał coś przemówić — słów mu brakło; Wandzia także nie wiedziała jak się teraz zachować. I nie można się dziwić. Ona poznała w nim młodzieńca, który ubiegłej jesieni przypatrywał się jej w Krakowie w kościele Marjackim — on poznał w niej dziewicę, która wówczas tak gorąco prosiła Boga o zdrowie dla brata.

XXXV.

W pokojach pana Rylskiego, panowie siedząc przy kilku stolikach, grali bądź wista, bądź preferansa. Przed każdym stał kieliszek węgrzyna starego i każdy trzymał w ustach bądź fajkę, bądź cygaro. Szczęście, że było lato. Kłęby dymu szarego puszczane nad stołami, rwały się ku oknom otwartym, aby rozpłynąć się w świeżem powietrzu ogrodowem. Gospodarz zajęty gośćmi nie siadł do stolika. Mimo wieku nie bardzo już młodego, miał bowiem lat przeszło pięćdziesiąt, chodził żywo po pokojach, wydając służbie rozkazy i przestrzegając, by się wszystko w należytym odbywało porządku.

Pan Stanisław Wybicki nie miał do gry zamiłowania. Skończywszy pierwszą pulę preferansa, powstał, a odstąpiwszy innemu swoje miejsce, poszedł odszukać gospodarza.

— Przyznam ci się — rzekł do niego — że to siedzenie przy stoliku, wśród dymu i gorąca nie należy do wielkich przyjemności

— Podzielam twoje zdanie — odpowiedział pan Rylski — i bardzo mi z tem wygodnie, że jako gospodarz mogłem się od gry wymówić.

— Może wyjdziemy na świeże powietrze?

— Najchętniej... Muszę jeszcze coś powiedzieć żonie i synowi, który za mnie będzie sprawował obowiązki gospodarza, i zaraz powrócę.

W kilka minut pan Rylski powrócił, a wziąwszy sąsiada pod ramię, wyszedł z nim do ogrodu, zkąd przez furtkę prowadziła droga na łąki. Obadwa szli w tamtą stronę.

— Dobrze się stało mój Stanisławie — przemówił gospodarz — że chwilę sami jesteśmy. Obowiązek sumienia nakazuje mi pomówić z tobą otwarcie... Przecie jeszcze nasi rodzice przyjaźnili się z sobą, a i my znamy się od dzieci. Ukrywać więc cokolwiek przed tobą, byłoby zdaniem mojem niegodziwością.

— Przestraszasz mnie Józefie — przerwał pan Wybicki, zatrzymując się na drodze. — Mówisz, jakby mi groziło jakie nowe nieszczęście.

— Nieszczęście, jak nieszczęście... wszak to od nas samych zależy... ale w każdym razie wielka nieprzyjemność.

— Mów więc, Józefie, mów na litość boską! bo mnie przerażasz!

— Czy wiesz, mój przyjacielu, jakie jest położenie Ludwika?

— Nie najlepsze, wiem o tem, ale przed kilku miesiącami naprawiliśmy wszystkie dziury.

Pan Rylski ręką machnął.

— Zaledwie połatali i to chwilowo... Dziś dziury' świecą jak dawniej. Pilawice, mój kochany, są jakby stracone.

— Co mówisz, Józefie?

— Niestety, tak jest... Ja się nigdy w nic nie mięszam, sąsiadom do garnków nie zaglądam, ale jak nie wiedzieć, kiedy to cały świat mówi. Przed tygodniem mówiono mi o tem w Warszawie, przedwczoraj w Radomiu. Poczciwy Ludwik, bo mimo tylu błędów, trudno nie przyznać, że jest poczciwy, zniszczył nierządem siebie i ciebie, gdyż dotąd występował jako twój pełnomocnik.

— Nie, Józefie — przerwał pan Stanisław — ciebie ktoś źle poinformował, to być nie może! Kilka tygodni temu rozmawiałem przecie z Ludwikiem o jego interesach... mówił o nich szczegółowo, a że potrzebował pieniędzy na zapłacenie rat Towarzystwa i innych długów, więc...

— Dałeś mu sześć tysięcy rubli — dorzucił pan Rylski.

— A tobie kto to powiedział?

— Sam Ludwik, który się ciebie nie mógł dość nachwalić. Właśnie te pieniądze są powodem, że cię dziś przestrzegam. Jeżeli masz gotówkę, to ją chowaj, bo tu mogłyby pomódz tylko grube tysiące... Wątpię zaś, byś je miał.

Pan Stanisław żachnął się niezadowolony.

— Nie, mój Józefie — rzekł — to być nie może! Takie postępowanie byłoby nie tylko nieuczciwe, lecz nawet nieloiczne. Jeżeliby Ludwik w rzeczy samej był zrujnowany, to przecie nie byłby mi zabierał ostatnich pieniędzy; przeciwnie byłby się starał, aby nam choć coś zostało. Nie, toby było nieloiczne!

— Ty bo znowu od Ludwika za wiele żądasz! — odparł pan Rylski — Czy u niego można mówić o loice? Wszak to dziecko, stare dziecko... Wszystko robi bez namysłu, bez zastanowienia. Tak się ożenił i tak potem żył z żoną. Baba robiła z nim, co chciała, on zaś nie umiał się jej nigdy sprzeciwić. Żal mi ciebie Stasiu, żal serdecznie. Chociaż zresztą kto wie, może mi źle powiedziano... wszak przysłowie twierdzi, że djabeł nie taki czarny, jak go malują. Może jeszcze nie wszystko stracone, może jest jaki ratunek. Jeżeli jednak pod tym względem chcesz być dokładnie objaśniony, jedź do Warszawy i pomów z mecenasem, który prowadzi interesa Ludwika. To człowiek prawy, on ci powie prawdę całą. Ludwikowi atoli nie wspominaj, żeśmy o tem mówili... miałby żal do mnie. Jego loika jest odrębną.

— Bądź spokojny — odrzekł pan Stanisław.

Słowa pana Rylskiego obudziły w nim smutne myśli, chociaż go nie przekonały. Przypuszczał, że jest źle, ale nie wierzył, by wszystko było stracone. Ludzie zazwyczaj więcej widzą, niż jest w rzeczywistości. Brat nie mógł mu zabrać ostatnich groszy, bo to by było tak dobrze nieuczciwe, jak nieloiczne. Do tego wniosku pan Stanisław przyszedł po raz drugi. Zresztą w naturze naszej leży, że chętnie się łudzimy, zwłaszcza, jeżeli nas kto chce przygotować na wielkie nieszczęście. A dla pana Stanisława czyż nie byłoby to prawdziwem nieszczęściem, jeżli by z córką został bez dachu i chleba? Nie, toby było czemś tak strasznem, z czem umysł jego żadną miarą nie mógł się pogodzić. Żeby jednak nie mieć sobie nic do wyrzucenia, postanowił zaraz nazajutrz pojechać do Warszawy, aby u adwokata zasięgnąć wiadomości szczegółowych.

Gdy przyjaciele, rozmawiając teraz o rzeczach obojętnych, weszli na łąkę, słońce schylało się już ku zachodowi. Dzień cały był gorący i suchy, ale nad wieczorem biała mgła tak łąkę pokryła, że wśród niej prawie zginęło towarzystwo zajęte raków łapaniem. Kształty osób bliżej stojących rysowały się jeszcze dosyć wyraźnie, lecz dalsze gubiły się jak senne widziadła, jak wodne boginie szukające kwiatów nad brzegiem rzeczułki. Gdzieniegdzie widać było ledwie profil twarzy nachylonej, obok nich jak węże ogniste furczały wstążki pąsowe, któremi były ozdobione kapelusze kilku panienek, a jeszcze dalej tylko oko najsilniejsze mogło dojrzeć postacie mężczyzn w czarnych ubiorach. Głosy odzywały się rzadko, urywane, każdy bowiem przestrzegał, by krzykiem raka nie płoszyć.

Wandzia, Olesia i Juljan tworzyli teraz jedno grono; pan Ludwik Wybicki pobiegł do innych panienek, aby im w ciężkiej pracy pomagać.

Wandzia, którą zakłopotanie prędko opuściło, była z Juljanem swobodna, jak z każdym innym; wszakże ilekroć ich oczy zbiegły się przypadkiem, sama nie wiedząc czemu, natychmiast swoje w inną stronę obracała, jakby nie mogła znieść jego spojrzenia. A przecie te oczy szafirowe spoglądały tak słodko, łagodnie! Powiemy więcej, w nich nietylko nie było śladu zuchwałości, lecz nawet się zdawało, jakby w nich był brak prawdziwej siły męzkiej. Zdarzyło się raz, że Wandzia nie mogąc podnieść w wodzie siatki, poprosiła młodego człowieka, by jej pomógł. Juljan usłuchał wezwania, a podnosząc siatkę, którą ona ciągle trzymała, dotknął się jej ręki... Co się z nią wtedy działo, nie mogła zrozumieć... Lekka dreszcz, jakby prąd elektryczny, przebiegła ją od stóp do głowy, w piersiach uczuła drzenie, na twarzy

gorąco. Było to coś, czego dotąd nigdy jeszcze nie doznała, coś, co się równało bojaźni i radości, zakłopotaniu i szczęściu. Usunęła rękę i dość długo siatki nie tknęła, później jednak zapomniawszy prawdopodobnie, co się stało, nie mogła znowu wyjąć siatki, co widząc Juljan już bez prośby jej pomagał. Bawili się tak długo, przeszło dwie godziny, i nierównie więcej raków wypuścili niż złapali. Olesia uszczęśliwiona ani widziała, co się koło niej działo. Marząc pierwszy raz w życiu o pięknym kuzynie, nie wątpiła o jego wzajemności. W jej wieku panienka nie przypuszcza, by w życiu były zawody i rozczarowania. Kogo ona kocha, ten i ją musi kochać, bo przecie inaczej być nie może... Zresztą czyż nie przyjechał na jej urodziny? Wprawdzie jego przyjazd mógł być przypadkowym, lecz Olesia tak nie rozumowała. W dniu dzisiejszym skończyła ona dopiero lat szesnaście. W tym wieku jedynie to jest piękne, dobre i prawdziwe, co my za takie uważamy.

Pojawienie się gospodarza i pana Stanisława Wybickiego, było hasłem do ukończenia zabawy. Wkrótce powyjmowano wędki i siatki, poczem parami ruszyli wszyscy do domu. Na końcu orszaku szli chłopcy dworscy, niosąc w koszach i worach przeszło trzy kopy raków.

Gdy salon rzęsiście oświetlono, młodzi ludzie przebrawszy się w oka mgnieniu, puścili się w tany przy odgłosie kapeli, złożonej z dwóch Moszków, trzech Herszków i jednego Icka, którzy osłonięci egzotycznemi roślinami, ustawionemi umyślnie w tym celu w jednym rogu salonu, nie przerażając nikogo swemi twarzami, zachęcali nawet starszych do skoków.

Wandzia, wsparta na ramieniu Juljana, ślizgała się po szklącej posadzce, a tak jej było lekko, swobodnie, przyjemnie, że ze swoim danserem byłaby chętnie na koniec świata uleciała. On mówił, głos zaś miał tak melodyjny i tak pięknie się wysławiał, że byłaby go słuchała godzinę, dzień, wieczność całą. Co się jej stało? Byłże to obłęd lub może jaka muzyka całkiem nowa, nieuchwytna, która poruszyła wszystkie struny jej duszy? Byłże to głos zwodniczy, którym zły gienjusz wiedzie duszę na manowce — czy pieśń żeglarza witającego zdala przystań spokojną? Cokolwiek się z nią działo, stan jej dzisiejszy tak był odmienny od wczorajszego, jak słońce od księżyca, jak ciepło od chłodu, jak radość od obojętności. Nie wiedziała co się z nią działo, a mimo to nie chciała, by znowu było jak wczoraj...

Gdy nad ranem z ojcem wyjeżdżała, Juljan był przy drzwiczkach powozu; żegnając się powiedział: Do widzenia! Już chciała zapytać: Kiedy? lecz wstrzymała się szczęśliwie, za co w duchu Bogu dziękowała. Przyjechawszy do domu, modliła się i płakała, a potem wziąwszy do rąk amulet, który jej Alompra ongi na szyi powiesił, wpatrywała się weń długo... Czy mu dziękowała za te chwile szczęśliwe, których doznała pierwszy raz w życiu, czy może prosiła go o siłę na przyszłość? Na amulecie jaśniało oko boskiej Opatrzności... Czy nad nimi miało czuwać? Pod okiem były dwie ręce trzymające się wzajemnie... Czy to ich ręce? Ucałowała amulet nie jak świętość, lecz jak pamiątkę po człowieku zacnym, o którym wspomnienie w sercu przechowywała, a pomodliwszy się gorąco za wszystkich — usnęła o słońca wschodzie. (C. d. n.)

Szermierz pióra.

Powieść

WEDŁUG ORYGINAŁU OBCEGO PRZEZ H. W.

(C. d.) Stary Atkins nie mógł dokończyć potoku słów obelżywych i życzeń pobożnych, które miotał w rozdrażnieniu na biedną Francyę, gdyż Joanna zerwała się jak lwica zraniona:

— Nie zapominaj pan, że i ja Francuzką się urodziłam — przerwała mu tonem najostrzejszym.

— Ty! miss Jenny! — zawołał Atkins osłupiały, jak gdyby w niego piorun uderzył!

— Ja! ja! — głos Joanny drżał od wzruszenia — nie zniosę dłużej podobnych bluźnierstw przeciw mojej biednej ojczyźnie. Jeżeli chcesz urągać jej niedoli, naśmiewać się z jej poniżenia, masz pana Alisona, w nim znajdziesz pan godnego siebie słuchacza i sprzymierzeńca, lecz w mojej obecności hamuj pan swoj język niegodziwy! nie pozwolę tak mówić o moich braciach! o moim kraju rodzinnym!

I odwróciwszy się od obydwóch, z pogardą najwyższą, rozpłomieniona szlachetnem oburzeniem, Joanna zniknęła w podsieniu gospody.

— Co to było? — spytał Alison po pauzie przydłuższej.

Atkins zdawał się wracać powoli do przytomności i budzić z osłupienia, w jakie go ta scena gwałtowna wprowadziła.

— Dalipan! Istny ojciec! pan Forest nieboszczyk, z ciałem i duszą! Jego ton! jego wzrok płomienisty! którym, gdy się na kogo, tak po swojemu popatrzył, to ten tylko się oglądał czy ma drzwi blisko za plecyma! Ja bo nawet nigdy nie próbuję protestować przeciw tym napadom despotycznym, tak u ojca, jak u córki, ale że pan tak to chcesz znosić cierpliwie?

Alison milczał. Przez cały czas, gdy Joanna jak bóstwo rozgniewane stała przed Atkinsem, oka z niej nie spuścił, a oko jego pałało nie gniewem, ale gorącem, namiętnem uwielbieniem, o które trudno by go nawet było przedtem posądzić. Dawno zniknęła — a on jeszcze patrzał w to samo miejsce, pod wpływem czaru niezwykłego.

— Myślałem zawsze—zaczął wreszcie mówić powoli— że pan Forest nienawidził kraju rodzinnego i córkę wychował w tych zasadach?

— Tak! Niby to się gniewał, niby nienawidził swojej ojczyzny, a przy śmierci pokazało się dopiero, że kochał ją całą duszą, tęsknił za nią całe życie, tak samo jak żona, i rozpaczał najokropniej, iż przynajmniej umrzeć nie może na ziemi rodzinnej. Mój panie kochany! my tego narodu nigdy nie zbadamy, nigdy nie poznamy. Dwadzieścia lat żyłem z domem Forest'ów, dzieliłem z nimi dolę złą i dobrą, znałem ich najskrytsze tajemnice, a jedno zostało dla mnie wieczną zagadką! uczucie, które matkę zabiło, z którem ojciec walczył nadaremnie lat dwadzieścia, które dziś owładło z całą siłą sercem córki, mimo zimnego, amerykańskiego wychowania, skoro stąpiła na ziemię rodzinną — a to uczucie dla nas niepojęte przynosi z sobą krew francuzka!

Atkins przestał mówić, gdy w tej chwili spostrzegł od strony zamku zdążającą ku nim wyniosłą postać oczekiwanego porucznika, za którym szedł ordynans. Harry zrobił kilka kroków naprzeciw, grzecznie go witając, siląc się przytem na złą francuzczyznę na jaką go jedynie stać było, by wnieść przed sąd jego rozstrzygający całe zażalenie, i sprawę wytłumaczyć. Po chwili, zaczął mówić wolniej, wahająco... wreszcie ustał zupełnie, wlepiając wzrok osłupiały w twarz porucznika.

Porucznik nie mniej zdziwiony, cofnął się o krok także. Jednocześnie nadszedł Atkins, który wykrzyknął bez wahania, tylko z wyrazem podziwu i prawie przerażenia:

— Pan Servigny!

Harry zadrżał. Wykrzyknik odjął mu wszelką wątpliwość, teraz wiedział na pewno, czyje to oczy błyszczą pod czapką wojskową.

Każda kropla krwi zdawała się zastygać na marmurowem obliczu Amerykanina, jednem czułem spojrzeniem oka objął znowu świetną postać Servignego, drugie wejrzenie pełne nienawiści i jadu wysłał w stronę gospody gdzie Joanna przebywała. Wszystko pojął, zrozumiał a z piersi jego wyrwało się Aaah! tak dzikie i stłumione! jakby pierś pod tym naciskiem pęknąć miała.

Atkins przywitał się tymczasem z Servigny'm, który grzecznie i spokojnie zwrócił się do obydwóch panów:

— Mocno żałuję, że mnie właśnie wypadło zwiastować panom taką nieprzyjemność, musicie panowie zostać tutaj, aż do dalszego rozkazu. Mamy pod tym względem najsurowszy zakaz, każdego bez wyjątku zatrzymywać.

— Ależ panie Servigny! zastanów że się na miły Bóg! Czyż pan nas nie znasz, czyż nie możesz za nas poręczyć, żeśmy przecież nie szpiegi, tylko ludzie najspokojniejsi, my tu w żaden sposób zostać nie możemy.

— Nie o to idzie, tylko o niemożliwość zrobienia wyjątku, dla kogokolwiek.

— Przecież mamy papiery, legitymacje.

— Wszystko na nic się nie przyda. Nader mi boleśnie, jeszcze raz powtarzam, ale nikogo z cywilnych, nie wolno nam puszczać w góry. Być może, że wkrótce rozkaz będzie odwołany, skoro nam nadejdą posiłki spodziewane, a których lada chwila oczekujemy, dziś jednak, trwa zakaz w całej rozciągłości i surowości.

Atkins spojrzał na porucznika z wielkiem niezadowoleniem, że mu tak kategorycznie jego prośbę odpalił, a jednak mimo całej złości, przebijało się w jego wzroku jakby nieme uwielbienie.

— Racz że pan przynajmniej obmyślić nam jakiekolwiek schronienie, gdy musimy uledz jego najwyższemu rozkazowi. Nazad wracać niepodobna, bo miasteczko D* już z pewnością Prusacy zajęli; trakt wielki również w ich ręku, przez góry wy nas nie puszczacie, nie ma co mówić, położenie rozkoszne! W tej nędznej gospodzie nie będziemy przecież nocować. Zdaje się, żeśmy skazani na koczowanie w dzień pod gołem niebem, a na spanie w powozie.

— Tak źle nie będzie. Panowie sami?

Nie miało to być właściwie zapytaniem.

Odpowiedź nie mogła podpadać żadnej wątpliwości, a jednak, może bezwiednie, było pewne zawahanie się w słowach Servignego.

Atkins chciał odpowiedzieć, lecz Alison dotąd jak posąg milczący, przerwał mu w pół słowa, nie zważając na jego wzrok strofujący:

— Tak — odrzekł z przyciskiem.

— W takim razie mogę panom zapewnić przyjęcie najgościnniejsze u moich kolegów. W zamku mamy miejsca aż nadto, a nasza dawniejsza znajomość — tu przelotny uśmiech trochę sarkastyczny, zaigrał na ustach porucznika — wystarczy, żeby uwolnić panów od jakiegokolwiek podejrzenia. Proszę wybaczyć — odchodzę wydać niektóre rozkazy, za chwilę wrócę nazad.

Zbliżył się do ordynansa, na boku stojącego, udzielając mu półgłosem jakoweś instrukcje.

— I to się dawniej nazywało profesorem na uniwersytecie w L* — mruczał Atkins pod nosem, z gniewem tłumionym. — Jaką ma tęgą, wojskową minę, ten mól książkowy! jakby całe życie machał pałaszem, a nie piórem skrzypiał po papierze. A suchot ani śladu. Teraz że powiedz mi panie Alison, co ci strzeliło do głowy, zaprzeczać z taką pewnością, że....

— Cicho! — szepnął mu Alison chwytając za rękę — ani wzmianki przed nim o bytności miss Forest, ani pół słowa! Wracam natychmiast!

Zniknął również w bramie gospody, Atkins patrzał za nim, głową potrząsając, jakby go to wszystko wcale nie cieszyło.

Teraz już i Alisona nie mógł pojąć i zrozumieć.

Servigny wrócił istotnie.

— Gdzież podział się pański młody ziomek? — spytał patrząc na okół.

— Będzie tu zaraz — odrzekł Atkins szybko, i w samej rzeczy Alison ukazał się w bramie jednocześnie, prowadząc pod ramię Joannę i tak gorliwie ją zagadując, że nie spostrzegła porucznika, który stał od bramy odwrócony; aż gdy otarła się prawie o niego, Servigny, jakby tknięty przeczuciem, odwrócił się nagle.

Chwilę stali naprzeciw siebie w niemym zachwycie. Czoło Servignego zajaśniało, jak kiedy słońce rozedrze szmaty chmur czarnych, ołowianych, i nagle horyzont ponury oświetli, oczy lśniły blaskiem namiętnym, rozmarzonym, a oblicze jego takiem szczęściem promieniało, jakby ten człowiek miał się w tem jednem uczuciu cały rozpłynąć, stopić w tym ogniu, który go z taką siłą niewstrzymaną ogarniał. Spotkanie tak niespodziane, wszystko zdradziło.

Zupełnie inaczej odbiło się to wrażenie w rysach Joanny. Zachwiała się przerażona i blada śmiertelnie. Niewątpliwie byłaby zsunęła się na ziemię, gdyby Henryk silnie jej nie podtrzymywał. Ujął jej ramię jakby w śruby żelazne, tak gwałtownie do swojej piersi cisnąc, jakby chciał zgnieść na miazgę tę rękę delikatną. Ona jednak bolu nie czuła, nie jękła, tylko oczy w jeden punkt utkwiła, jak osoba w śnie magnetycznym pogrążona, źrenice jej były rozszerzone, szklanne, martwe, straszne!

Alison z dziką rozkoszą studjował ich oboje; oczy jego jak ostrze sztyletu, zdawały się przebijać na wskróś Joannę szczególniej. Nic nie uszło jego uwadze, ani jedno drgnienie muszkułów, ani błysk oka przelotny. Zbadał i ocenił należycie, tak radość Ludwika, jak i przerażenie Joanny. Nie potrzebował więcej słów ni komentarzy — dość się już dowiedział! I jego twarz zmieniała się powoli. Rysy zdawały się kamienieć pod wrażeniem tej grozy niezwykłej. Powoli stawały się coraz bardziej ponure, srogie, nieubłagane.

Servigny pierwszy ocknął się z osłupienia, on oprócz Joanny nie widział nikogo, nieuważał nawet jak szatańsko, podstępnie był wykonany plan Alisona.

— Miss Forest! Ani mogłem się spodziewać panią tutaj napotkać?

Henryk uczuł, jak pod wpływem tego głosu Joanna drżeć zaczęła, usunął swoje ramię i jej rękę puścił wolno. Ten ruch wrócił jej przytomność.

— Pan Servigny — w samej rzeczy — spotkanie i dla nas całkiem niespodziewane; myśleliśmy zawsze, żeś pan do głównej armji przydzielony.

— Armji już niema prawie — odrzekł głucho i smętnie Servigny — ostatnie jej szczątki, których jeszcze nie zdołali Prusacy wziąć do niewoli, tułają się tu i owdzie, w górach szukając schronienia.

Jasność słoneczna i radość bezmierna znikły z twarzy Ludwika, ustępując miejsca wyrazowi bolu ciężkiego, prawie rozpaczy. Joanna przemawiała do niego tonem tak lodowatym, jak tam niegdyś u stóp ruin, unikała wzroku jego, którym on szukał uporczywie jej oczów. Wiedziała dobrze, że gdyby teraz spotkała jego oczy, wszystko byłoby stracone!

— Więc to od pana wyszedł rozkaz, który nas tu zatrzymuje — mówiła dalej zimno i ostro — Jest to zapewne pański obowiązek, do którego musimy się zastosować. Skłoniła lekko głowę, a zbierając sił ostatek, odwróciła się w stronę Atkinsa, chwytając go za ramię, bo czuła, że kolana pod nią się uginają.

Servigny zbladł i zaciął usta. To była dawna miss Forest, dumna, niedostępna, a owa chwila pożegnania, która we śnie i na jawie, snuła się wiecznie w jego myślach, w jego pamięci, która była jego gwiazdą przewodnią we wszystkich trudach i niebezpieczeństwach, która dotąd przez tygodni tyle, błogością niewymowną duszę jego przejmowała, — czemże dla niej była? Zapewne kaprysem przelotnym, dawno zapomnianym, wyrzuconym, jako słabość jej niegodna, z serca i pamięci. Wszak wstrząsła się na jego widok, jakby zobaczyła swego wroga, kogoś jej nienawistnego. Wieczór i rozmowa u stóp ruin, żywo mu się przypomniały, duma męzka i teraz zwyciężyła żal głęboki, odwrócił się najspokojniej wołając:

— Jacque!

— Panie poruczniku!

— Odprowadzisz państwa — wskazał ręką obecnych — do zamku, do pana doktora. Pan Atkins wszystko mu opowie, odemnie zaś będziesz go prosił, żeby udzielił tych wiadomości panu majorowi. Znasz przecie doktora Alfreda Buthot, panie Atkins, mówi doskonale po angielsku, więc łatwo możecie panowie, z nim się porozumieć. Mnie „służba“ tu we wsi zatrzymuje, raczcie państwo mieć mnie za wytłumaczonego.

Wszystkich razem grzecznie salutując, odszedł szybkim krokiem, przez wieś na pole, gdzie warty były porozstawiane.

Jakób szedł naprzód, z głową do góry podniesioną, w poczuciu wielkiej misji jaką spełniał, prowadząc „to całe tatałajstwo!“ (bo tak zawsze nazywał w głębi serca znienawidzonych przez siebie Amerykanów) do zamku, na rozkaz swego porucznika. Nie rozumiał on wprawdzie ani słówka z rozmowy prowadzonej w języku angielskim, był jednak silnie przekonany, że ci niegodziwcy, których mu kazał eskortować do zamku porucznik, są co najmniej zdrajcami i szpiegami; że od dobrego tychże dopilnowania i wzbronienia im ucieczki, zależy niezawodnie bezpieczeństwo i całość oddziału; był nawet zdecydowany, w razie gdyby uciekać próbowali, użyć broni dla ich zatrzymania.

Szczęściem dla nich, Amerykanie nie mieli do tego najmniejszej ochoty. Młodzi ludzie szli obok siebie słowa dotąd niezamieniwszy, pan Atkins zaś szedł tuż obok Jakóba, przypatrując się z uśmiechem ironicznym swojej eskorcie; nakoniec przemówił łamaną francuzczyzną.

— Patrzcież i pan Jakób tutaj. — Jesteśmy mu więc oddani na łaskę i niełaskę!

Jakób spojrzał z góry na mówiącego.

Czuł on się wyłącznym panem sytuacji, czuł całą wyższość swoją, nad tymi ludźmi! jednak ułagodziło go cokolwiek względem nich, pokorne przemówienie pana Atkinsa, niegdyś tak dumnego i niegrzecznego, nawet go poniekąd rozczuliło, że tak dokładnie pojmował swoje i swoich towarzyszy położenie. To też po chwili, odpowiedział dość łaskawie, chociaż z pewnym naciskiem:

— Porucznik tak rozkazał, a skoro mój porucznik wami się zajmuje, to wam z pewnością sprawiedliwość zostanie wymierzoną.

— Ah! jakiż ciężar zdjąłeś mi pan z serca — drwił Atkins dalej. — Nieskończenie wdzięczny mu jestem za to uspokojenie. Więc nie będziemy wtrąceni do lochów podziemnych, ani zakuci w kajdany. Powiedz że mi teraz, mój dobry panie Jakóbie, co to za cudowna metamorfoza nastąpiła u twego porucznika? Jest to coś tak nieprawdopodobnego, że trzeba w czary chyba uwierzyć. Twój porucznik to prawdziwy rycerz, od stóp aż do głowy. A jak jego uczoność potrafi teraz ostro komenderować, jak rzuca od niechcenia słówkami: „służba rozkaz, moi koledzy, forpoczty“ i tam dalej, jak gdyby urodził się w pancerzu i wyrósł na placu boju. Gdzież jego Wysokość raczyła podzieć, ową dawną nieśmiałość i roztargnienie?

— W mieście L* wszystko to zostawił — odparł sucho Jakób — za stołem z książkami.

Atkins spojrzał, zdumiony nie lada tą odpowiedzią.

— To chłopczysko zaczyna się robić inteligentnym i próbuje nawet być dowcipnym — mruknął z cicha do siebie z gniewem tłumionym — tego jeszcze tylko brakowało!

Ta wielka inteligencja, miała jednak w krótce przejść ciężką próbę, i nie wyjść z niej zwycięzko. W dziesięć minut później, zjawił się Jakób na terasie, gdzie z wyjątkiem majora, który odszedł do siebie, reszta oficerów dotąd była zgromadzoną; zbliżył się do doktora salutując i mówiąc dobitnie głosem służbowym:

— Od porucznika Servigny. Przysyła panu doktorowi trzech szpiegów i kazał prosić pana doktora, żeby był łaskaw oznajmić o tem panu majorowi.

— Czyś oszalał? — zawołał śmiejąc się doktor. — Cóż mnie do szpiegów. Czy który z nich ranny?

— Nie. Wszyscy są zdrowi i nic im nie brakuje.

— Jacque, ręczę że to jedno z twoich głupstw kolosalnych — mruknął przez zęby gruby kapitan, cedząc powoli ostatni kielich szampana. — Pewnie do majora prosto porucznik posyłał cię z nimi.

— Do pana doktora mnie posłał — utrzymywał Jacque uporczywie — bo on zna ich jeszcze z miasta L*. To ci Amerykanie, młody i stary, a między nimi jest i siostrzenica państwa Etienne, miss Forest.

— Miss Forest! — krzyknął doktor, zrywając się jak oparzony — Chryste Panie! co też ten Ludwik ma za szczęście szalone. Taką zdobycz wojenną przypadek w ręce mu wpycha, a on się o nią wcale nie troszczy, i nam pod eskortą odsyła! Na całym świecie tylko Ludwik Servigny coś podobnego popełnić potrafi.

— Co to za miss Forest? Zkąd miss Forest? mów że przecie doktorze! — obskoczono go teraz z pytaniami na wszystkie strony.

— Nie zatrzymujcie mnie panowie na miły Bóg! — wołał doktor zbierając się z gorączkowym pospiechem. — Muszę, o ile się zdaje, naprawić olbrzymią pomyłkę. Chcecie wiedzieć kto jest miss Forest? Amerykanka, siostrzenica pierwszego lekarza w L*, bogata jak nieboszczyk Krezus, lat dwadzieścia, cudownie piękna bruneta, jak Juno imponująca, świetny meteor, który był całe miasto L* olśnił, oczarował, a do rzędu licznych tegoż czcicieli, niestety bez nadziei! i mnie zaliczyć możecie. Jakóbie! jeżeliś dopuścił się względem tej damy najmniejszej niestosowności, jeżeliś ją w czemkolwiek obraził, niech ci Bóg będzie miłosiernym, bo ja nie potrafię przebaczyć ci tego!

Doktor wybiegł pędem strzały. Krótka biografia, którą rzucił o miss Forest, podziałała na resztę towarzystwa jak stos galwaniczny. Słowa — milionerka — lat dwadzieścia — piękność cudowna... padały jak petardy, uderzając nie tylko o uszy młodych oficerów, ale rozpłomieniając od razu ich serca, wyposzczone przez kilka miesięcy, od podobnych awanturek. Wszyscy czem prędzej wylecieli, żeby choć zdaleka popatrzeć na to niezwykłe zjawisko. Nawet estetyczny adjutant, wyjął z kieszeni zwierciadełko, bez którego nie puszczał się nigdy, a ułożywszy misternie i poetycznie złote kędziory, nastrzępiwszy zwycięzko końce wąsika, zaledwie zasiewającego się nad ustami, wyszedł z miną zadumaną, krokiem balansującym w prawo i w lewo, obiecując sobie, że to będzie w jego życiu epizod nader romantyczny. Jeżeli nie zdobędzie od razu serca milionerki, co przy wdziękach tak niepospolitych — uważał się bowiem za nader pięknego młodzieńca — nie jest wcale niepodobnem! to przynajmniej może mu to posłużyć za treść poematu, którym po ukończeniu wojny świat zdziwi.

Gruby kapitaś został sam jeden przy stole, wodząc oczyma z wielkim ducha spokojem po stole i pod stołem, czy nie zostawiono mu przypadkiem jakiej pełnej jeszcze buteleczyny do wysuszenia.

— A co! nie mówiłem ci Jacque, żeś znowu palnął głupstwo co się zowie — przemówił wreszcie powoli.

Jakóbek stał dotąd osłupiały, z gębą szeroko otwartą, z oczyma wybałuszonemi. Czuł się strąconym ze szczytu swojej wielkości, zniweczonym, zabitym. Rzucił błędnym wzrokiem na park, gdzie właśnie cały korpus oficerów, z doktorem na czele, przyjmował „szpiegów“ z grzecznością najwyszukańszą i z niskiemi ukłonami, przeniósł następnie wzrok na kapitana, spuszczając głowę na piersi, z miną wielkiego, ale skruszonego winowajcy. Wreszcie przyłożył machinalnie rękę do kaszkietu salutując kapitana i wymówił po cichu, głosem bardzo niepewnym słowa sakramentalne:

— Podług rozkazu! Panie kapitanie!

VIII.

Servigny nie pomylił się, obiecując ze strony swoich kolegów, najgościnniejsze przyjęcie naszych podróżnych. Wprawdzie major, jako najwyższa instancja, potwierdził w zupełności wyrok, że muszą w zamku nocować, nawet przez wzgląd na ich własne bezpieczeństwo. Wszyscy zajęli się gorliwie ulokowaniem gości jak najwygodniej, gdyż we wsi istotnie miejsca dla nich nie było. Znajomość ich z doktorem i Servignym, zapewniała Amerykanom z góry przychylność wszystkich; bo obydwaj byli ulubieńcami całego grona oficerów. Korpus oficerów mieścił się na dole, a na pierwszem piątrze były próżne pokoje, ogołocone z właścicieli, a urządzone z przepychem prawdziwie pańskim.

Nadzieje młodych oficerów, zostały najokropniej zawiedzione, co do bliższego poznania i zabawienia się przyjemnego, z nader interesującą milionerką. Widzieli dość, by przyznać słuszność doktorowi Buthot co do jej młodości i piękności, zresztą miss Forest nie okazała najmniejszej ochoty, przyjmować hołdy tych młodych wojowników; skoro skończyły się pierwsze powitania i przedstawienia wzajemne, oświadczyła z góry, że jest niesłychanie znękaną i strudzoną niewygodami podróży, prosząc o wskazanie jej pokoju, gdzieby mogła wypocząć. Doktor przyjął to oświadczenie ze smutkiem widocznym, inni z miną nader kwaśną; nie mogli jednak wziąć jej tego za złe, gdyż twarz jej była tak marmurowo blada, tak się zdawała słaniać za każdym krokiem, w głosie jej nawet czuć było drżenie i natężenie aby słów kilka wypowiedzieć, wszystko to dowodziło, jak gwałtownie wypoczynku potrzebuje. Za to towarzysze Joanny nie mogli wykręcić się i musieli zasiąść do stołu, gdzie znowu zastawiono jadło w obfitości, i kosz szampana z piwnicy przyniesiono. Atkins był w różowym humorze, przecież raz dorwał się porządnej kolacyjki i wina dobrego. Dowcip jego strzelał na równi z szampanem, uwagi sarkastyczne sypały się jak z rękawa, starał się ożywiać całe towarzystwo za siebie i za swego towarzysza, który dotąd nie odezwał się prawie, pogrążony w ponurem milczeniu. Alison mówił wprawdzie bardzo źle po francuzku, jednak oprócz doktora, mówiło kilku oficerów po angielsku, którzy wiele razy zwrócili się ku niemu najgrzeczniej z rozmową, a odbierali więcej jak lakoniczne odpowiedzi. Doktor utrzymywał ze skromnością, że istotnie żaden z nich nie mówi dostatecznie po angielsku, żeby rozmowa mogła być dla Amerykanów zajmującą; obiecywał, że dopiero ożywi się prawdziwie, gdy jego przyjaciel Servigny powróci, bo ten mistrzowsko włada tym językiem.

Na wspomnienie o Servignym, usta Alisona kurczowo zadrgały, prosił grzecznie, ale nader zimno, żeby sobie dla niego nie zadawano najmniejszego przymusu, utrzymując, że i on jest trochę zmęczony. Co do Ludwika, ten zdawał się przedłużać w nieskończoność swoją dzisiejszą inspekcję; — nie pokazał się wcale. Major pierwszy pożegnał towarzystwo, gdyż dano mu znać, że ktoś chce z nim mówić w ważnej sprawie, wychodząc skinął również na adjutanta. Ci dwaj dali i innym hasło do rozejścia, co pozwoliło wreszcie Amerykanom, udać się także na spoczynek.

Powozy tymczasem zajechały; rzeczy panów zniesiono również na pierwsze piętro. Ściemniło się na dobre, gdy obydwaj Amerykanie weszli do pokoju dla nich przeznaczonego, Atkins rzucił się na sofę z wykrzyknikiem zadowolenia, że się mógł wreszcie uwolnić od wszelkiego przymusu, Alison zaś chodził nieprzerwanie tam i napowrót po pokoju, z głową zwieszoną, z rękami na piersiach zkrzyżowanemi. Nadaremnie czekał Atkins na jedno bodaj słówko, na jakąkolwiek uwagę, żaden dźwięk dotąd przez usta jego nie przeszedł, tylko nogi Alisona, zdawały się poruszać automatycznie, jednostajnie, jak wahadło zegara. To ponure milczenie, wydało się w końcu staremu Atkinsowi, nie do zniesienia.

— Tak dalej iść nie może panie Alison, musimy wreszcie zacząć o tem mówić. Nie uszła pańskiej uwadze, również jak i mojej, dziwna scena, która się we wsi odbyła. Cóż pan o niej myślisz?

Alison stanął, głowę podnosząc.

— Pocoście tu przyjechali? — zapytał głucho i z gniewem tłumionym, zamiast odpowiedzi.

— Ależ proszę pana!...

— Pocoś pan tu z miss Forest przyjechał? — powtórzył Alison głosem podniesionym i trzęsącym od wściekłej złości, która w sercu wrzała.

— Mówiłem już — dla spraw familijnych.

Harry uśmiechnął się gorzko!

— Mógłbyś pan sobie tych kłamstw oszczędzić. Teraz wiem wszystko!

— W takim razie, wiesz więcej niżeli ja — mówił dalej Atkins całkiem na serjo. — Co do mnie, ledwie w połowie potrafiłem zrozumieć tę scenę. Servigny — no! ten aż nadto zdradził się ze swemi uczuciami. Tu już komentarza nie potrzeba, nagła niespodzianka odkryła tajemnicę, — dla czego jednak miss Jenny tak przeraziła się jego widokiem, jak gdyby widmo straszne jej się ukazało — to już całkiem dla mnie niepojęte!

— I dla mnie! — dorzucił Alison z gryzącą ironią. — Zwykle nie boimy się tego, zaczem gonimy, i czego z taką mozołą szukamy!

Atkins zmarszczył czoło:

— Szczęściem, że miss Jenny pana niesłyszy, tych słów nigdyby ci niedarowała! Utrzymywałeś, że znasz ją nadto dobrze, aby uwierzyć, że mogła ją tu sprowadzić „bezcelowa, romantyczna zachcianka“ — a przypuszczasz, że mogłaby podeptać w ten sposób wszelką przyzwoitość, pominąć najprostsze względy, żeby gonić po obozach za kim?... za nieznanym zupełnie jej dotąd obcym mężczyzną! I o coś podobnego śmiesz posądzać szlachetną, dumną miss Forest. Pfe! wstydź się panie Alison!

Harry przyjął spokojnie ostrą wymówkę, usta jego ciągle jeszcze drgały konwulsyjnie, wykrzywione szatańską ironią.

— Wiem! wiem! dla mnie byłaby raczej dumna miss Forest umarła — niżby miała zrobić jeden krok naprzód — ale dla niego? Nie raz się już zdarzało, że takie oczy poety, rozmarzone, roztkliwione, nie tylko zwyciężały dumę kobiety, ale przyprowadzały ją nawet do zapomnienia o własnej godności, do upadku zupełnego!

— To już graniczy z szaleństwem! — krzyknął Atkins w najwyższem oburzeniu. — Przyrzekłem wprawdzie milczeć, jednak w obec tak niesłusznych, tak dzikich zarzutów, i miss Jenny milczeć by nie mogła. Zresztą, chce czy niechce, powiem wszystko. Dowiedz że się pan prawdy. Po to do Francyi przybyliśmy, i teraz po niej jeździmy, ażeby gonić za mężczyzną, i odpytywać o nim jakiejś wieści, lecz nie za panem Servignym tylko za kimś, o którego pan niepotrzebujesz być wcale zazdrośnym, bo ten człowiek nosi miss Forest nazwisko, — jest jej bratem rodzonym.

— Jej bratem? — powtórzył Alison w osłupieniu.

— Nie inaczej! — Atkins zaczął teraz po swojemu, wykładać krótko i dobitnie młodemu człowiekowi polecenie ojca umierającego i przyrzeczenie Joanny przy jego łożu śmiertelnem, słaby ślad w Brešcie odszukany i dalsze poszukiwania po wyjeździe z miasta L* czynione, również jak rezultat dotąd otrzymany. Alison słuchał wszystkiego w głębokiem milczeniu, na chwilę zdawał się lżej oddychać, czoło jednak dotąd chmurnem pozostało.

— Masz pan słuszność — odrzekł ponuro. — Teraz wierzę, że spotkanie nie było przynajmniej naprzód umówione. (C. d. n.)

ADWOKAT POKĄTNY.

V.

(Dok.) Adwokat wysłuchał cierpliwie opowieści, a gdy pan Walery przestał mówić, ojciec Pyzi wydął usta, zmarszczył brwi i po chwili tak przemówił:

— Sprawa, którą mi pan dobrodziej raczyłeś zakomunikować, nie należy do najłatwiejszych. Ponieważ przed ślubem nie było żadnej umowy, więc nie ma o co zahaczyć... chybaby o te rachunki gorzelniane... ale w takim razie to rzecz kryminalna, arcykryminalna!

— Cokolwiek mecenas uczyni — odparł pan Walery — brat mój na wszystko przystanie. Cały kraj wie, że pan mecenas nawet byś nie umiał bronić sprawy nieczystej.

— Spodziewam się! Zresztą musimy tego Ormianina rozumu nauczyć! Przekona się jak wychodzą tacy, którzy śmią oszukiwać własne dzieci. To zbrodnia, panie dobrodzieju, zbrodnia o pomstę do nieba wołająca!

Uwagi adwokata musiały panu Waleremu przypaść do przekonania, gdyż w milczeniu słuchał mówiącego, od czasu do czasu uśmiechając się z zadowoleniem.

— A pan dobrodziej zostaje we Lwowie? — zapytał po chwili pan Grzegorczuk.

— Zostaję... radbym coś rozpocząć, aby nie uronić nic z mego kapitaliku

— Bardzo pięknie, mości dobrodzieju, bardzo pięknie! Kto nie pracuje, jest pasożytem, a pasożyty dobry ogrodnik wycina i w ogień rzuca. Ale jeżeli pan dobrodziej chcesz odpowiednio ulokować swój kapitalik, to radź się ludzi doświadczonych a życzliwych, bo w wielkiem mieście nie trudno popaść w ręce oszustów. Nie raz widziałem, jak piękne fortuny niknęły bez pożytku dla kogokolwiek.

— Serdecznie panu mecenasowi dziękuję za uwagi bezinteresowne, i jeżeli pan mecenas pozwoli, ośmielę się przyjść tu kiedy po radę.

— Bardzo proszę, bardzo... Zresztą w sprawie brata będziesz pan dobrodziej musiał nie raz do mnie zaglądnąć, to wtedy pogadamy i o pańskich interesach.

Właśnie gdy pan Grzegorczuk ostatnie słowo wypowiedział, we drzwiach prowadzących do pokoju jadalnego, ukazała się rumiana twarzyczka panny Pyzi. Gość spojrzał na nią, ona przelotnie na niego i oboje jak gdyby się zarumienili.

— Czy mogę tatkowi przynieść kawę?

— I owszem moje dziecię, ale proszę o dwie szklanki, bo nasz gość pozwoli także kawuńci.

Napróżno wymawiał się pan Walery twierdząc, że już od godziny jest po kawie; gospodarz tak prosił, a kawa, którą wniosła panna Pyzia, tak ponętnie wyglądała, że gość dał się nareszcie uprosić i wypił z dolewkami półtorej szklanki, przyczem zjadł trzy bułeczki i dwa rogaliki.

Od tego dnia pan Walery był w domu adwokata gościem prawie codziennym.

VI.

Młodych ludzi płci odmiennej na to pan Bóg stworzył, aby się kochali i pobierali. Jeżeli takie jest odwieczne prawo natury, więc cóżby w tem było nadzwyczajnego, jeżliby naprzykład pan Walery poślubił pannę Pelagję? Oboje młodzi, oboje przystojni, oboje do rzeczy. W dodatku on ma trzydzieści tysięcy i jest człowiekiem pracowitym; ona zaś jest jedynaczką, a tatuś będzie miał co najmniej sto tysięcy prócz kamieniczki.

Takie mniej więcej uwagi robili stróż i kucharka pana Grzegorczuka, i prawdopodobnie powtarzanoby to w sąsiedztwie, gdyby sąsiedzi dobrze życzyli adwokatowi i pragnęli szczęścia jego domu.

Co do pana Walerego, o tym nie było można powiedzieć stanowczo, czy miał zamiary matrymonialne. Wprawdzie codzień przychodził i nieraz z uwielbieniem wpatrywał się w pannę Pyzię, gdy ona przy herbacie perłowemi ząbkami obgryzała przy kosteczce kotleciki cielęce, i kilka razy także się zdarzyło, że na jej westchnienie on jeszcze głębszem odpowiedział westchnieniem - ale z tem wszystkiem mimo lat dwudziestu sześciu pan Wojowski junior był tak ostrożnym, że nawet bystre oko ojca nie mogło przeniknąć jego fizjognomji i odczytać zamiarów ukrywanych w głębi serca. Pan Walery był nadzwyczaj grzecznym, nadzwyczaj uprzejmym, ale i na tem koniec... Snać pamiętał, jak wyszedł pan Wojowski senior.

Piękna Pyzia była natomiast ciągle niespokojna. Nie było pana Walerego, wyglądała przez okno, często wzdychając; przyszedł pan Walery, była pomięszana, często się rumieniąc. Ojciec badał jej stan i w duszy zaczynał się martwić. Czyż ojciec, jak pan January, dla którego jedynaczka była wszystkiem na tej ziemi, mógł patrzeć obojętnie na zmianę, jaka zaszła w usposobieniu jego córki?

Już od pół roku trwała znajomość między naszymi przyjaciółmi i kto wie, czy do dziś dnia nie byłaby się wlokła bez najmniejszych widoków na przyszłość, gdyby nie przypadek, który jak zawsze tak i tym razem przyszedł w pomoc kochającym się sercom.

Pewnego dnia marcowego, gdy śnieg z deszczem zmięszany bił nielitościwie o okna jednopiętrowej kamieniczki przy ulicy Łyczakowskiej, wszedł do adwokata woźny apelacyjny i wręczył mu wyrok. Straszny to był wyrok! Pani Eufemja wygrała proces we wszystkich instancjach, a pan January został skazany na zapłacenie kosztów procesu. Nieszczęśliwy adwokat stał pół godziny na środku pokoju jak wryty, a potem zsunął się na fotel, mówiąc Pyzi, która właśnie weszła, że się czuje bardzo cierpiącym. Biedna

dziewczyna pobiegła po ocet, rumianek, i chciała nawet posłać po lekarza, ale ojciec zatrzymał ją jeszcze mówiąc, że może mu się polepszy. Nad wieczorem choremu znacznie się jednak pogorszyło i wtedy na wyraźne jego żądanie posłano po doktora Barbarum, z którym pan Grzegorczuk od najwcześniejszej młodości w serdecznych zostawał stosunkach. Najpierw lat kilka przesiedzieli na wspólnej ławce szkolnej, później spotykali się w różnych miejscowościach na prowincji, a teraz mieszkali nieopodal siebie we Lwowie.

Gdy lekarz wszedł do pokoju chorego, ten kazał wyjść córce; w pół godziny później dr. Barbarum zjawił się w saloniku z miną bardzo zafrasowaną, a napisawszy receptę i wydawszy odpowiednią dyspozycją, rzekł w końcu do panny Pyzi:

— Niech panienka każe często kłaść ojcu na głowę zimne okłady i stara się, aby w pokoju było zawsze jak najciemniej, gdyż bardzo być może, że będziemy mieli zapalenie mózgu.

Biedna dziewczyna cicho zapłakała, ale w tem zjawił się pan Walery, który dowiedziawszy się o nieszczęściu, jak najczulej zaczął pocieszać piękną Pyzię, wynurzając nadzieję, że ojcu rychło się polepszy.

VII.

Sześć dni trwała choroba pana Grzegorczuka. Widoczną było rzeczą, że napróżno silny jego organizm opierał się śmierci, która żałobnem skrzydłem wionęła nad kamieniczką jednopiątrową.

Pan Walery codzień przychodził, aby pocieszać wiecznie zapłakaną Pyzię, lecz nie codzień mógł oglądać chorego. Czasem chory spał i wtedy do jego pokoju nikogo nie wpuszczano; często majaczył, a wtedy ruchami rąk dawał do zrozumienia, że nie życzy sobie, by ktokolwiek przy nim się znajdował; czasem znowu gdy czuł się lepiej i był przytomnym, w pokoju taka ciemność panowała, że napróżno pan Walery wzrok wytężał, aby choremu lepiej się przypatrzeć. Jeden raz tylko gdy stanął przed jego łóżkiem, pan January ujął go za rękę i jakiś czas przytrzymał; młody człowiek skostniał cały, tak zimną wydała mu się ręka chorego... I nie dziw, wszak dr. Barbarum nie raz mu już mówił, że dla pana Grzegorczuka najmniejszej nie ma nadziei.

Szóstego dnia nad wieczorem, piękna Pyzia powitała weselszym uśmiechem wchodzącego pana Walerego.

— Ach! jak to pięknie, żeś pan przyszedł — zawołała biorąc go za rękę. — Tatko dziś przytomniejszy... mało dziesięć razy pytał o pana i prosił, bym pana zaraz do niego przyprowadziła. Chodźmy, chodźmy!

W sypialni było tym razem jaśniej. Na poduszkach wysoko podniesionych leżał pan January. Twarz jego nie była chuda, ale bardzo biała i jakby obrzękła, oczy zaś bezmyślnie w jeden punkt zapatrzone, zdawały się mierzyć drogę, którą niebawem miała dusza odbyć.

Gdy młody człowiek we drzwiach się pojawił, chory skinął ręką na znak by się zbliżył.

— Usiądź przy mnie, mój dobry panie Walery — przemówił adwokat głosem bez dźwięku — i posłuchaj mnie chwilę... Dzięki Bogu czuję się dziś lepiej, ale jest to ostatni płomień lampy, który gaśnie, ostatni uśmiech słońca, które zachodzi...

— Do czego tak smutne myśli! — przerwał młody człowiek.

— Niestety, mój dobry przyjacielu, ze wszystkiem potrzeba się oswoić, nawet ze śmiercią... Czuję ja dobrze, że godziny moje policzone... może jutro, może pojutrze wszystko się skończy. Ale ani byś uwierzył, mój drogi panie Walery, jak ciężko umierać ojcu, gdy bez opieki dzieci zostawia, a chociaż Bóg nie dał mi wiele dziatek, przecież dręczy mnie okropnie ta myśl, że moją drogą Pyzię zostawiam bez opiekuna, samą jedną wśród złego świata. Ach! ta myśl zatruwa mi ostatnie życia godziny.

Chory przerwał i badawczo wpatrzył się w młodego człowieka; pan Walery stał z oczyma w dół spuszczonemi.

— Mój szlachetny przyjacielu — ciągnął po chwili pan Grzegorczuk — przebacz jeżeli będę z tobą zbyt otwartym, ale sumienie nakazuje mi uczynić wszystko, aby umrzeć spokojnie. Moja dobra Pyzia pokochała cię, a o ile mogłem się przekonać i ty nie jesteś obojętnym. Umieram zostawiając jej całe moje mienie, tę oto kamieniczkę i ośmdziesiąt tysięcy w banku hipotecznym... W mojem sekretarzyku znajdziecie testament... Jeżeli serce mówi ci, że będziesz z nią szczęśliwym, nie wahaj się ani chwili. Jutro możecie mieć indult, a jeżeli Bóg pozwoli mi doczekać, pojutrze kapłan połączy tu was przedemną.... Właśnie wczoraj wyprowadzili się lokatorowie pierwszego piętra, tam więc każę wam zaraz jutro usłać gniazdeczko. Przebacz mi drogi przyjacielu, że jestem tak otwartym, ale winienem to mojej córce i tobie... Takie dzieci szlachetne powinne być szczęśliwe.

Znużony dłuższą przemową, pan January opadł bezwładnie na poduszki, a pan Walery zamiast odpowiedzi, ujął chorego za zimną rękę i z uczuciem wdzięczności do ust ją przycisnął.

Trzeciego dnia nad wieczorem czcigodny kapłan połączył nowożeńców u łoża umierającego ojca. Prócz dwóch świadków nikogo więcej nie było.

VIII.

Straszna burza szalała na dworze, gdy nazajutrz po ślubie pan Walery ucałowawszy żonę, wychodził z pokoju, aby się dowiedzieć, jak się teść miewa. W nocy było spokojnie, więc zapewne spodziewana katastrofa jeszcze nie nastąpiła.

W zamyśleniu szedł małżonek pięknej Pyzi na dół po schodach, ale zaledwie otworzył drzwi od pokoju jadalnego, cofnął się w osłupieniu. O dwa kroki przed sobą zobaczył pana Januarego, który wystrojony, wyświeżony, wygolony, uśmiechnięty i dziwnie młodo wyglądający, spieszył na powitanie zięcia.

— Drogi, najdroższy synu! — zawołał rzucając mu się na szyję. — Szlachetny twój czyn taką mnie napełnił radością, że przez noc wyzdrowiałem zupełnie, a teraz czuję, że doczekam się jeszcze ślubu najmłodszego z moich wnuków. Bóg ci zapłać, mój synu!

Pan Walery musiał uściskiem na uścisk odpowiedzieć, chociaż twarz dziwnie mu się przeciągnęła, bo w tej chwili przyszedł mu na myśl jego brat starszy...

IX.

W sześć tygodni po ślubie młodzi małżonkowie siedzieli przy herbacie, rozmawiając o znikomościach tego świata i przebiegłości papy dobrodzieja, który usłyszawszy jak Ormjanin wykierował pana Ignacego, uknuł jeszcze zręczniejszy spisek przeciwko młodszemu jego bratu.

— Czy wolno? — zapytał ktoś drzwi otwierając.

— Prosimy.

— Najmocniej przepraszam — przemówił otyły jegomość, który jak beczka wtoczył się do pokoju — że przeszkadzam o godzinie tak spóźnionej, ale wymaga tego ważność sprawy. Oto mam zaszczyt oświadczyć państwu dobrodziejstwu, że mieszkanie przez nich zajmowane, wynająłem od pierwszego innym lokatorom.

— Co pan mówisz?! — zawołał trochę gniewnie pan Walery — przecie my mieszkamy w domu naszego ojca.

— Tak było wczoraj i dziś przed południem, ale nie teraz...

Małżonkowie spojrzeli po sobie dużemi oczyma.

— Tak, tak — ciągnął otyły jegomość — przed południem jeszcze, ale nie teraz... Przed dwiema godzinami podpisałem kontrakt o kupno kamienicy, a pan Grzegorczuk dobrodziej wyprowadza się właśnie do domu pani Eufemji, z którą dziś w południe wziął ślub za indultem.

— Przez miłosierdzie Boże! — zawołał pan Wojowski — a to nas wykierował! Aby nam daremnie nie dawać mieszkania, sprzedał kamienicę, a ponieważ od pani Eufemji nie mógł wyprocesować jej kamienicy, więc się z nią ożenił.

— Sprytnie, bardzo sprytnie — dorzucił z uśmiechem otyły jegomość.

Pani Pelagja zemdlała.

Młodzi małżonkowie chcąc nie chcąc musieli się wyprowadzić, a w rok potem otrzymali od ojca list z uwiadomieniem, że państwu Grzegorczukom urodził się syn, który bez wątpienia będzie jedynym spadkobiercą mamy i papy.

Dziwne są losy ludzkie.

RÓŻNOŚCI Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Wiedeń. Dnia 27 kwietnia, przy najpiękniejszej pogodzie, odbył się pochód hołdowniczy, zamykający szereg uroczystości z powodu srebrnego wesela pary cesarskiej. Wszystkie trybuny były zapełnione. Po prawej i lewej stronie namiotu cesarskiego stali dygnitarze państwa, ciało dyplomatyczne i generalicya. W namiocie cesarskim byli członkowie domu cesarskiego. O 11tej przybyli Cesarstwo, poczem burmistrz wygłosił mowę, na którą Najjaśniejszy Pan odpowiedział. Po odśpiewaniu hymnu przez Towarzystwo śpiewaków, rozpoczął się według programu pochód przed Parą cesarską, wśród nieustannie grzmiących okrzyków na ich cześć. Krociowe tłumy widzów, którzy już od świtu zajmowali miejsca, żywo przyklaskiwały świetnie kostjumowanym, malowniczym grupom. Pochód prześcignął wszelkie oczekiwanie i skończył się po 1 i pół godzinie w najlepszym porządku i bez żadnego wypadku. Było to jedno z najwspanialszych widowisk jakie kiedykolwiek widziano w Europie.

Londyn 29 kwietnia. — W Stratford, w hrabstwie Warwick, rozpoczęły się w dniu 23 kwietnia dziesięć dni trwać mające uroczystości, z powodu 315-letniej rocznicy urodzin Szekspira. W dniu pierwszym inaugurowano teatr wystawiony ku pamięci wielkiego poety, oraz dany był bankiet na 300 osób, w którym uczestniczyli członkowie parlamentu, kilku wyższych duchownych, oraz umyślnie z Ameryki przybyli delegaci. Miasto przyozdobiono kwiatami i chorągwiami. Po ulicach przebiegały muzyki, grające pieśni różnych krajów. Wieczorem w teatrze dawano komedję „Wiele hałasu o nic“. Miasto illuminowano. W dniach 24, 25 i 26 puszczano balony, palono ognie sztuczne i urządzano pochody. Dnia 27 kwietnia przedstawiono „Hamleta“. Zjazd obcych na tę uroczystość był wielki.

Aleksander I. książe Bułgaryi.

Krótką wiadomość bez wszelkich komentarzy przyniósł nam telegram z Tirnowy, że książe Batteñberg został przez zgromadzenie narodowe na tron bułgarski powołany.

Książe Aleksander Józef Battenberski jest drugim synem JW. ks. Aleksandra Heskiego c. k. austryackiego i heskiego jenerała kawaleryi (ur. 15 lipca 1823) i ks. Julji z hrabiów Haucków; urodził się on 5 kwietnia 1857 i swoją wojskową karjerę rozpoczął w 24 pułku hesskich dragonow.

Podczas ostatniej kampanji wschodniej brał udział. jako wolantarjusz w obozie rossyjskim, przy której to sposobności zapoznał się dobrze z krajem i ludem księstwa bułgarskiego.

Po ukończeniu wojny i powrocie do Berlina wstąpił znowu w szeregi wojskowe, tym razem, jako podporucznik gwardji, przydzielony do 4-tej kompanji, stojącej załogą w Poczdamie.

Podczas wyborów w Tirnowie, ks. Aleksander najswobodniej spędzał czas w gronie kolegów w Berlinie. Wiadomość telegraficzna o zaszczytnym dlań rezultacie, zastała go w pałacu ambasady rossyjskiej „pod lipami“, gdzie właśnie odbywał się bankiet z okazji urodzin Cesarza Rossyjskiego.

Udzielnemu odtąd księciu Bułgaryi składano na miejscu liczne powinszowania.

Niezawodnie uda się bezzwłocznie deputacya skupczyny do Berlina z hołdem należnym nowemu władcy i ogłosi mu uroczyście wolę narodu.

Książe w armji pruskiej pozostawi po sobie miłe wspomnienie dobrego kolegi, dzielnego oficera i powszechnie lubianego towarzysza wyższych sfer arystokratycznych w Berlinie i Poczdamie.

Ceniono go wielce dla jego przymiotów serca i charakteru, ujmującej powierzchowności, dobrego humoru i wykwintnego obejścia się.

Dzienniki niemieckie przedstawiają go jako młodzieńca pełnego nadziei, zawołanego tancerza i doskonałego jeźdzca.

Niemcy dostarczają już drugiego udzielnego księcia krajom półwyspu bałkańskiego; pierwszym był z rodziny Hohenzollernów panujący do dzisiaj ks. Karol Rumuński.

Pierwszy władca Bułgaryi cieszy się tedy na początek zaufaniem trzech wielkich mocarstw traktatowych: Austrji, Niemiec i Rossji.

DZIECI OBECNEJ CHWILI.

Ojciec. Józiu, zkąd to masz na palcu ten pierścionek?

Józio. Od sąsiadki Julci, dała mi go, bo obiecałem jej onegdaj, że się z nią ożenię!

Ojciec. Co? ty smarkaczu — takie mi rzeczy gadasz — poczekaj, dam ja ci tu zaręczyny!...

Józio. Ale niechże tatko się nie gniewa, nic się przecie nie stało; ja jej tylko obiecałem, ale się z nią nie ożenię.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.